



Kobiety kochane nie dość mocno

tom I
Ewangelie Łotrów

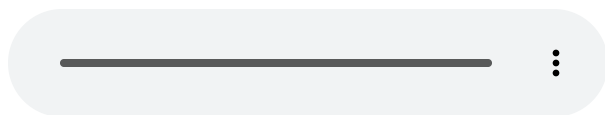
Lecz On odwrócił się i rzekł do Piotra:
„Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą,
bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki”.
Mateusz 16,23

tekst, obraz, muzyka: Kervion
loops : Looperman, Music Maker Jam
© wszelkie prawa autorskie zastrzeżone

epub 2026, wydanie 1.2
wydawca: Kervion



Ewangelia tajska



Wślizgnęła się językiem w jego usta, chwycił ją w talii i zatańczyli w wirze tajskiej nocy, obściskując się jak zwierzęta – nie, nie jak zwierzęta, jak ludzie właśnie, bo tylko ludzie tak się głaszczą, jęczą i ocierają – dopiero po wyjściu z Laguny zrobiła niewinną minę, wsadziła mu rękę pod swoje majtki i przeprosiła, że nie jest kobietą. Pachniała cudownie, kręciła zgrabnym tyłkiem ósemki nieskończoności, z udawanym żalem wytłumaczył jej, że podnieca go tylko widok i zapach bruzdy między nogami, połowa ludzkości się nie liczyła, penisy były mu obojętne jak winniczki, zdawał się wątpić, czy mężczyźni są w ogóle ludźmi, kobiety natomiast na pewno.

Nazajutrz w barze Casablanca popijał piwo Singha, patrzył na ocean i dokonywał rachunku sumienia. Zawiódł sam siebie na wszelkich możliwych frontach, zawiódł Ritę jako mąż i partner życia, zawiódł świat, nawet jeśli świat nigdy niczego się po nim nie spodziewał. *Pieprzyć to* – wsiadł na skuter i pojechał do baru w Patong zobaczyć się z Gitą. Seks z nią pędził jak rollercoaster, wyłączał aktywność kory mózgowej, rdzeń natomiast działał znakomicie, przewodził impulsy w szerokim paśmie high-definition, kilkaset klatek na sekundę, strasznie lubił chude dziewczyny, chude kokainistki jeszcze bardziej. W nocy Gita wyglądała jak milion dolarów, antylopa haute couture, za dnia jak

pierwsze stadium AIDS. Seks bomba z bardzo udanym silikonowym biustem miała wąską cipę, wąskie uda i autentyczną pasję do rżnięcia pod dyktando wyrazistych zmian nastroju, efektu mieszania kofeiny, alkoholu, nikotyny i kokainy. Nie pytając Marka o zdanie, nigdy go o nic nie pytała, rżnęła go bez prezerwatywy, co akceptował wbrew rozsądkowi, erekcja przejmowała kontrolę, następował nieuchronny proces przemiany pożądania w miłość. Naoliwiona skóra oblekała szkielet, podniecał go jej układ kostny, w szczególności kości dłoni i przedramion. Nosiła w sobie obraz własnej śmierci, chodziła jak modelka na wybiegu, a za nią snuły się trzy cienie: zmarłego męża, zmarłego jedyne go syna i jej samej. Rozpacz doprowadziła ją do prostytucji albo tylko wykorzystywała rozpacz jako wymówkę, by się zdrowo pieprzyć. Za każdą Tajką w barze stoi jakiś dramat, który pchnął je tam, gdzie siedzą, na wysokich stołkach wzdłuż tysięcy kilometrów wybrzeży Tajlandii. Gita miała w sobie wdzięk zawodowej tajskiej tancerki, a jednocześnie zatracenie, pieprzyła się z pasją i desperacją zarazem.

Doskonałą kochanką była także Maya. Lubił, gdy kobieta ma obfite wytryski, a tym bardziej, gdy bywały liczne. Pościel i materace, amortyzatory czułego rżnięcia, zostawiali zawsze przemoczone. Maya spełniała oczekiwania wobec rajskej kobiety, bezbłędnie uwodziła uśmiechem i opalonym ciałem, po czym w łóżku stawała się bezwstydną, dochodziła szybko. Jej uporczywie mokra cipka składała się z wyselekcjonowanych genetycznie komórek nerwowych o precyzyjnie określonym biologicznie celu

przejmowania kontroli nad umysłami płci przeciwnej, pachniała mu jak bukiet egzotycznych kwiatów. Nawet bezsporny fakt, że wilgotniała na widok niemal każdego twardniejącego kutasa, nie wpływał w najmniejszym stopniu na intensywność doznań Marka. Tej wersji miłości nie dotyczyły paragrafy o wyłączności, żadnych *och, ach, jaki ty jesteś wyjątkowy*, w miłości wyczynowej wygrywali najsilniejsi fizycznie, niczemu nie służyły departamenty edukacji i kultury. Maya ubóstwiała jego język i palce wkładane jej do środka po cztery, nie pozwalała mu wsuwać do środka dłoni po nadgarstek, uważała to za zboczenie. Miała bardzo ciemną skórę, a jej zachowanie cechował swego rodzaju prymitywizm, jakby grubo ciosane wargi i rysy odcisnęły swoje piętno na charakterze. Wystarczyło kilkanaście sekund podczas ich pierwszego spotkania, by sytuacja stała się natychmiast oczywista, pan i pani będą się różnić długo i odpowiednio bezmyślnie, co się stało zaledwie dwie godziny później, po kilku tygodniach brali ich już za parę. O pieniądzach nigdy nie rozmawiali, dopiero po rozstaniu poprosiła go oficjalnie o pożyczkę, ale nigdy jej nie oddała. Wówczas jeszcze nie wiedział, że Tajowie nie uznają słownikowego znaczenia słowa *pożyczka*, a znaczenia słów angielskich są w ogóle bardzo ruchome i dalece umowne, nawet tak prostych jak *tak* i *nie*. Maya bywała jednak czasem wzruszająco szczerą, tak go rozgrywała. Mówiła o sobie, że jest z ł ą k o b i e t ą , głos jej się przy tym łamał, uciekała wzrokiem, a gdy zbierała się w sobie, by mu spojrzeć w oczy, leciały jej ciurkiem łzy. Jeśli chciała uświadomić Markowi, że bycie dziwką to nie tylko miód i malina, sukces był połowiczny.

Najbardziej lubiła, gdy rytmicznie uderzał w wewnętrzną stronę jej kości łonowej zagiętymi palcami, on natomiast wolał leżeć z nosem w jej kroczu i opowiadać sobie, że udało mu się skutecznie uciec z udręki społecznych więzów prosto w szczęście. Rozkoszował się urodą jej cipki. Po rozchyleniu pachnących i wilgotnych zewnętrznych warg sromowych w kolorze ciemnego kakao ukazywały mu się mniejsze, tętniące życiem, w barwie róż noworodka. Dymali się szybko, długo, mocno, do zmęczenia, bez sentymentalnej gry wstępnej, podnieceni od razu samym faktem przebywania obok siebie. Za pierwszym razem doprowadził ją do orgazmu samą dłonią, ponieważ Maya oczekiwała, że założy kondoma, czego robić nie lubił. Doszła dosyć szybko, wstrzemięźliwość w użyciu prężącego się kutasa mocno ją zaintrygowała. Kolejnej nocy siła woli Marka nieco osłabła, wylizał ją dokładnie, co biorąc pod uwagę łatwość w nawiązywaniu kontaktów erotycznych przez podmiot jego peregrynacji językowych zahaczało o próbę samobójczą. Nazajutrz miał lekki nalot na gardle, ale szybko minął. Dopiero po pięciu nocach zgodziła się, żeby zbadać krew, choć nieźle się na niego z tego powodu wkurzyła. Jak tylko wyniki okazały się negatywne, bez zbędnej zwłoki wbił się w nią wreszcie nieobleczonym w gumę trzonkiem i przez kilka dni rzadko z niej wychodził, energia przepływała swobodnie od niego do niej i z powrotem. Kolczyk w języku służył jej właściwie wyłącznie do prowokacji, całowała się byle jak, skupiona na doznaniach płynących z cipy, poganiając go, że na resztę szkoda czasu. Całował ją, gryzł, a Mayi tylko błyskały białka oczu w oprawie z czekolady. Skórę miała gładką jak u

dzidziusia, tak zdrową i piękną, że mogłaby z powodzeniem zostać uznana za wzorcową skórę nowej rasy. Uwielbiał ją po prostu różnąć, tajemnice rozkoszy zostały poznane, rozebrane i wydymane do ostatniej kropli spermy. Niestety połączenie picia alkoholu i zazdrości – w obu celowała – okazało się tajskim koktajlem Mołotowa. Jej agresja słowna i fizyczna, gwałtowność i bezpodstawność wybuchów zraziły go. Wycofał się na parę dni, tydzień później przeprosiła go za wybuchy. Przeprosiny przyjął, ale szklanki zostały już pobite, tango skończone, nie dało się wrócić do niewinności pierwotnego uniesienia. W ciągu kilku kolejnych miesięcy dorobiła się własnego baru, otwierając swój ogródek przed Portugalczykiem z Angoli, ale gdy kolejnej nocy spotkali się na parkiecie w Lagunie, wylądowali znowu o czwartej nad ranem w łóżku, które przemoczyli jak para zawodowych przyjaciół. Baraszkowali jak szczenięta, a w tym samym czasie polska partia tetryków umacniała się w iluzji władzy, napęczniali od frazesów prezesa i usztywnieni w krzyżach od krzeseł i garniturów ich zastępcy tworzyli tak zwaną h i s t o r i ę , najnudniejszy cel życia, jaki homo sapiens kiedykolwiek wymyślił. Seks był dla Marka przyjemnością, ale także doprowadzoną do ostateczności ideą odrzucenia więzienia polskości na rzecz k o s m o s u i s t n i e n i a . Wolny od człowieczeństwa, oddychał pełną piersią zwierzęcej maszynarii, czuł się wielki. Maya coś z tego odczuła, uszczęśliwiona nocnymi igraszkami w ramach żartu zostawiła mu napiwek, śmiejąc się, że po raz pierwszy w życiu płaci, ale nie może sobie odmówić. Pierdolili się znowu bez gumy, bo im rozum odjęło. Marek im lepiej się czuł,

tym bardziej zdawał się popełniać rozłożone w czasie samobójstwo. Tłumaczył sobie, że i tak są już martwi, bo przyszłość jest ustalona, ciała pływają w oceanie trupów, więc wszystko jedno. W seksualnej egzaltacji doszedł do ściany, a potem przeszedł przez nią. Jego życie stało się rozpustą, a on sam kłębkim radości. Rozpierało go szczęście po przebudzeniu, w południe, po południu, wieczorem, w nocy, gdy spał, gdy sikał, gdy oddychał, ciągły strumień endorfin, serotoniny, oksytocyny, dopaminy płynął w nim i nieprzerwanie wzbierał. Aż się dziwił, że jeszcze rozumiał, co się do niego mówi, frunął kilka metrów nad ziemią i gdyby miał nagle spaść, potłuc się i umrzeć na siniaki, jeszcze na łożu śmierci poprosiłby, by przyjechały tajskie dziewczyny, rozebrały się do naga, wybranka usiadłaby mu cipą na twarzy i mógłby w pokoju wrócić tam, skąd pochodził. Uległ nie szaleństwu, lecz esencji życia, przynajmniej jakiegoś wariantu życia. Przez lata nie wiedział, kim jest, czego chce i dlaczego miał ciągle depresję, poczucie bycia w niewłaściwym miejscu i czasie towarzyszyło mu zawsze, naraz zniknęło, samo bycie, odczuwanie i oddychanie stało się jednym długim orgazmem, ten stan nie ulegał zakłóceniu miesiącami, więc jednak miał rację! Można się urodzić mężczyzną i czuć, że jest się jakimś innym rodzajem mężczyzny. Zmiana monogamii na poliamorię zadziałała jak zmiana płci. Przeszedł transfigurację. I właśnie owo promieniowanie szczęściem tak na kobiety działało, coraz rzadziej wychodziły z jego łóżka, nie chodziło im bowiem o żadne małżeństwa, związki, nawet nie o pieniądze, lecz o chwilę szczęścia, a o nie łatwiej z seksualnym odmieńcem. W oczach i

uśmiechu miał rozkosz, przyjemność z niego emanowała. Ulegały, bo pragnęły tego samego – rozkoszy. Oddawały się bez ceregieli, obdarowywali się nawzajem językami, wibrowaniem, orgazmami. Phuket, największy burdel świata, okazał się jednocześnie miejscem najlepszym, najbliższym jego naturze, gdzie nabierało sensu b y c i e s o b ą , a nie staranie się, by być kimś, kim się nigdy nie było i nie będzie. Zatem nie zawiódł życia i samego siebie na wszystkich możliwych frontach. W jednym osiągnął czarny pas przyznawany nad ranem, przed zaśnięciem, gdy stykały się dłonie, a ciała leżały obok, z miłości wyczerpane.

Po godzinie rozmowy z Khem w Starbucksie wydało mu się, że przyjemność z dialogu czerpali obopólnie. Subtelne piękno jej rysów zdradzało przodków z Chin, ale gdy odczuwała rozkosz działało się coś niesamowitego z jej twarzą, rozkwitało w niej piękno innego rodzaju, łagodniała i stawała się opętana zarazem. Uwielbiał pocałunki z nią, długie i obezwładniające, podczas których spływała na niego w ciągu sekundy błogość. Poddawał się tym rysowanym wargami chwilom. Włosów łonowych nie goliła, zostawiała mu w prezencie swój naturalny, intensywny, duszący zapach. Wyginała giętkie biodra i powtarzała w odpowiednich momentach wyuczoną kwestię „I love you”, gdy chciała, by myślał, że zrobił jej bardzo dobrze. Nie kłamała, wypowiadała tylko prawdę chwili. Nie używali w ogóle prezerwatyw, chyba dlatego, że udało jej się Marka zwieść, że nie prostytutowała się z byle kim. Nie wspomniała o pieniądzach i wiele miesięcy zabrało mu nauczanie się, że największe niebezpieczeństwo groziło właśnie z

kobietami zapewniającymi, że kochają się tylko dla przyjemności. Wyceniały się znacznie ponad przeciętną i chodziło po prostu o milion dolarów. W rozumieniu potocznym *kurwą* nazywamy osobę oczekującą materialnego ekwiwalentu za udział w przyjemności. W rozumieniu szerszym natomiast per *skurwysyn* myślimy o kimś, czyje zdolności do manipulacji innymi przekraczają nasze własne. Marek zwykle korzystał z tej drugiej definicji. Nosicielkami HIV było wedle oszacowań około dwóch procent prostytutek na Phuket. Seks bez zabezpieczenia skutkował zakażeniem raz na kilka tysięcy stosunków, rachunek prawdopodobieństwa stał więc po stronie Marka, przynajmniej do czasu, gdyby nie został jedynką w tym ilorazie. Strach przed zakażeniem się i wydaniem na siebie wyroku śmierci stanowił część układanki, był nieodłącznym elementem seksualnego obłędu trwającego lata. Marek racjonalizował ryzyko tworząc sobie po cichu sentencje, że jakiej wieży by w życiu nie zbudował, cień po schodach już i tak pełźnie.

Pon zobaczył w Usual Suspects i natychmiast się zakochał. Pożądanie go zamroczyło, zalało pewne obszary mózgu odpowiednimi neuroprzekaźnikami i program miłosny włączył się od razu. Zakochiwał się także dlatego, że seks bez miłości wydawał mu się nieuczciwy. Oszukiwał sam siebie, wypierając własną niezdolność do uczuć wyższych. Podjeżdżał pod jej dom trzy razy dziennie i drżał, że go zauważy. Uśmiechała się pięknie, piękna jak olśnienie, do czasu, gdy przegrała do niego dziesięć tysięcy batów w bilard, co stanowiło dla niej ponad miesięczną

pensję. Wówczas przestała się uśmiechać. Nie zachowała się jak dziwka, nie rozłożyła swoich nóg i ramion, zachowała najlepsze co miała dla kogoś, kogo sama jeszcze nie знаła. Marek nie uważał się za Ala Pacino, więc zbytnio się Pon nie dziwił. Udawał artystę bez grosza, nie miała więc pewności, czy łożyłby wystarczająco na Juana, jej kilkuletniego synka spółzonego z jakimś Hiszpanem, który zaraz po upewnieniu się, że noworodek jest zdrowy, jak prawdziwie samolubny samiec szybko zniknął. Pon przemknęła jedynie przez życie Marka jak powiew czegoś wyższego, wznioślejszego i szlachetniejszego. On jednak kroczył drogą w dół, w seks, nie w miłość. Miłość i szczęście uznał za eufemizmy pożądania i zaspokojenia seksualnego.

Ana lubiła sporty wodne i posługiwała się perfekcyjną filipińską angielszczyzną. Na tle Tajek, zwykle niezdolnych do sklecenia z sensem trzech zdań, wydawała się przystanią inteligencji. Stać ją było na wynajmowanie domu i samochodu, potrzebowała jedynie kogoś, kto kochałby ją namiętnie wbrew dowodom z lustra, że powoli się rozpada. Na wieczorną randkę przyjechała tak naoliwiona, że świeciła. Fatalnie dobrane okulary postarzały ją o lat dwadzieścia, Marek koncentrował więc uwagę na naoliwionych udach. Rozmowa szła im w kratkę, ale w samochodzie puściła kołyszącą bossa-novę, w efekcie umówili się na wiosłowanie na desce w zatoce Ao Yon kilka dni później. Uroda plaży rozleniwiała i pobudzała zmysły jednocześnie. W porze deszczowej większość plaż na zachodnim wybrzeżu rzadko nadawała się do pływania z powodu zbyt wysokich fal, spotykali

się więc na niewinne plażowanie po wschodniej stronie wyspy. Dopiero tydzień później pogoda zmieniła się na tyle, że zdecydowali się pojechać na Nai Yang w pobliżu lotniska. W sięgającej poniżej kolan wodzie udawali płazy, aż zaczął padać deszcz i z pola widzenia zniknęło wszystko, tylko nie woda. Leżeli, nie mogąc oderwać wzroku od powierzchni morza rozedrganego szturmem kropel, ręce powędrowały wzdłuż ud i w górę, by rozpocząć harce wodnych czworonogów. Wieczorem wylądowali w jej łóżku, sześć prezerwatyw poszło jak orzeszki ziemne do piwa, ona jęczała, Markowi natomiast uzbierało się na gadanie o miłości, bo butelki wina osuszali szybko. Niestety mimo poprawnej gramatycznie angielszczyzny wygadywanych przez Anę bzdur nie dało się słuchać. Złapał na bajerowaniu sam siebie: przed ejakulacją wydawała się dosyć inteligentna, chwilę później nieco mniej.

Demi nie mówiła po angielsku prawie wcale, ale ile razy udało się jej coś połączyć w quasi zdanie, niosło ono precyzyjny sens, jej obserwacje owocowały zgrabnymi przemyśleniami. Przynajmniej tak się Markowi wydawało do momentu, kiedy zaczął podejrzewać, że może chodzi o ten sam mechanizm, po prostu chciał się z nią pieprzyć, więc urodzie dorysowywał aureolę ponętnego umysłu. Jak gdyby podążanie za pięknem wiązało się z poczuciem winy, że nie jest jednoczesnym podążaniem za moralnym dobrem. Platońskie i wtórnie chrześcijańskie twierdzenie-samooszustwo, że prawda, piękno i dobro tworzą jedność, pozwala pobierać miesięczną pensję

niezdolnym do samodzielnych obserwacji profesorom filozofii i pieniackim felietonistom, ale jest sprzeczne z ludzkim doświadczeniem. Marek uważał, że dżin wolności został już dawno wypuszczony z butelki, w którą nabijali ludzi teologowie autorytaryzmu i staliśmy się nie tylko twórcami własnego życia, ale także najlepiej poinformowanymi sędziami we własnej sprawie. Podążał więc nie w jednym, ale w kilku kierunkach naraz, wikłając się w te same sprzeczności, w jakie wikłali się wyznawcy triady, ale opisywał je i rozwiązywał inaczej. Po spotkaniach z Aną zostało mu słuchanie przebojów Lany del Rey, szczególnie „Summer Wine” śpiewanego w duecie z Valo, pieprzył się natomiast chętniej z Demi. Erotyczny pociąg i całkowita rezygnacja z pretensji intelektualnych pozwoliły im na rozkwit wieloletniej przyjaźni. Przez pierwszy tydzień używali gumek, w końcu pod wpływem oksytocyny zgodziła się na badanie krwi. Nie ukrywała przynależności zawodowej, próbowała znaleźć jakiegokolwiek inne zatrudnienie, ale poza studiami masażu, gdzie pracowały prostytutki niepijące i barami dla pijących, tajski rynek niczego nie oferował, chyba że za ofertę uznać pięćset złotych miesięcznie po dwanaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Markowi obojętny był sposób, w jaki zarabiała na utrzymanie. Folgował pożądanemu, a prostytutka zdawała mu się uczciwsza od śliskości polityki czy celebryckich małżeństw próżności z próżnością. Z tajskimi dziewczynami – kobietami wolnymi, w przeciwieństwie do ich europejskich odpowiedniczek – dzielił obrzydzenie do niewolnictwa pracy najemnej i niechęć do narzucania sobie seksualnych restrykcji zarówno co do osób, jak i

co do form pieprzenia. Ludzi pozostających w monogamicznych związkach podejrzewał o hipokryzję i słabość charakteru. Wszystkie powody zawierania związków małżeńskich wydawały mu się słabe. Kobiety mówiące wprost: „Kochanieńki, moja pizda kosztuje tysiąc, jej dusza drugie tysiąc, razem dwa tysiące za noc, pasuje?” wyrażały się w sposób wulgarny, ale ten rodzaj nieestetycznej prawdy zdawał mu się co najmniej równie zasadny, jak ślubowanie miłości po grób na ślubnym kobiercu. W skrytości ducha małżeństwem pogardzał. Demi dostała od niego dwanaście tysięcy batów po dwóch tygodniach, potem odwiedzała nie oczekując pieniędzy, różnili się dla przyjemności i podtrzymywania przyjaźni. W prezencie urodzinowym kupił jej okulary za trzy tysiące batów, gdy zorientował się, że nie rozpoznaje go z kilkudziesięciu metrów. Dwanaście tysięcy wystarczyło na wysłanie rodzinie za opiekę nad dwójką dzieci, opłacenie pokoju i tatuaż na całym lewym udzie. Jego główny motyw stanowiła kobieta z zaszytymi ustami. Nie potrafił z niej wydobyć, czy wybrała obraz świadomie, myśląc o sobie, czy tylko dlatego, że jej się podobał. Jakkolwiek doszło do wyboru motywu, Demi o czymś milczała. W końcu namalował jej portret na podstawie zdjęcia zrobionego w jednym z barów w Kamala. Patrzył nań codziennie i pozwalał myślom błąkać się bez celu. Żył w czasach popularyzacji sloganu pewnej klasy ludzi, by „żyć chwilą”, „żyć tu i teraz”. Być może tego typu hasła posiadały wartość terapeutyczną jako namowa dla miejskich frustratów do relaksu, ale zdawały mu się formą oszustwa. Życie ma jednak tylko kilka szczytów, nie ma fizycznej możliwości bycia na szczycie

przez cały czas. Skłaniał się raczej ku zatrzymaniu pewnych chwil w pamięci i praktykowaniu umiejętności powracania do nich niemal na zawołanie. Pomocna bywała fotografia, ale jeszcze lepsze efekty przynosiły malarstwo i literatura. Wysilek włożony w malowanie miesiącami portretu bądź nadawanie słowami kształtu minionym zdarzeniom okazywał się z czasem źródłem znacznie większej satysfakcji, niż starania *cieszenia się każdą chwilą*. Łatwość wykonania fotografii jest jednocześnie jej największą i niejedyną słabością. Dopiero w obrazie czy opowiadaniu, po przetoczeniu głązów na drodze do oczyszczonego z nieporadnych błędów dzieła, udawało mu się pokonać czas na tyle, na ile w ogóle leżało to w zakresie jego zdolności. W Mountain View w Kamala tylko grał z Demi w bilard, ale właśnie ta chwila, a nie „każda chwila”, stała się z czasem jedną z najważniejszych chwil życia. Namalowany obraz nie pełnił funkcji wystawionego na sprzedaż dzieła sztuki, ale fizycznego obiektu wspomagającego podróżę w czasie i przestrzeni. Czymś, z czego wyprowadzał lub do czego sprowadzał niewyartykułowaną filozofię życia: iść za najsilniejszym głosem, za miłosnym pożądaniem, poddać się swojej na wskroś seksualnej i erotycznej naturze. Żadnych zobowiązań, żadnych zabiegów o społeczne zaszczyty, żadnego współzawodnictwa w grach stworzonych i sterowanych przez innych. Planszą gry jest życie. Reguły określa ewolucja. Wygraną jest szczęście w ramionach i młędzy udami kochanki. Zgodnie z tą filozofią leżał z Demi w łóżku przerywając seks kolejnymi odcinkami i sezonami „Gry o tron”. Demi, podobnie jak większość kobiet na Phuket, pochodziła z Isaan.

Milczała, ale nie z powodu nieśmiałości czy braku poczucia humoru. Ożywiała się w trakcie i bez ogródek wyrażała rozczarowanie, gdy miała ku temu dobry powód, gryząc go mocno i skarżąc się czasem „I didn't come, you bad man!” Byli przez kilka tygodni szczęśliwi.

Ania przyjechała na Phuket z Laosu. Pierwszej nocy rzygała długo i głośno, Marek opiekował się nią z oddaniem, jakby chodziło o jego własną córkę. Po wytrzeźwieniu okazała się być znakomitą kochanką, pieprzyła się często i z nieukrywaną radością. Tęsknił za nią długo potem, także za bystrością jej umysłu, celnymi skojarzeniami i umiejętnością błyskawicznej zmiany konwencji. Potrafiła być elegancka i wulgarna na przemian, w zależności od sytuacji lub kontekstu rozmowy. Schizofrenia ich zbliżała. Stawiała Markowi zaskakujące pytania o rodzinę i historie sprzed dziesięcioleci, w mig chwytając niuanse i przyczyny jego wyboru pozostania lekkoduchem, dziwkarzem, motylem. Markowi podobały się duże, kształtne cycki, ale w praktyce wolał mniejsze, bardziej wrażliwe. Zaskakująco duża liczba kobiet na Phuket miała zaszyte pod skórą dwa krągłe kawałki silikonu. Z początku go drażniły, miał wrażenie obcowania z rzeczą, a nie osobą, czuł, że obrażają jego i same siebie rykoszetem. Z czasem zobojętniał. Ania miała cudne, małe piersi, ale pytana o marzenia odpalała bez namysłu *silikon*. Chciała być – jak wyjaśniała – *częściej, dłużej i lepiej rżnięta*, a przede wszystkim podwyższyć stawkę. Banknoty przesłoniły jej świat, tak jak Markowi przesłoniło go pożądanie. Ślicznotka przyzwyczaiła się

do nadskakujących jej mężczyzn i wydawania im poleceń, a Marek akurat do tego się nie nadawał. Zaiskrzyło konfliktami szybko, jak to między inteligentnymi i wiedzącymi czego chcą ludźmi bywa. Ona chciała spać przy zamkniętych oknach z włączoną klimatyzacją, on wolał otwarte i Greenpeace. Związek nie mógł się udać. Sekret udanego pożycia z Demi polegał na tym, że nie kłócili się o nic w ogóle.

Moon poznał w Angels w Laguna Plaza, gdzie przesiadywały *bar girls*, różniące się od zwykłych Tajek tym, że szły do łóżka po godzinie, a nie na drugim spotkaniu. Między barami Playboy, Masaya, Roses, Stars, Butterfly, Baroque, Viking, Penthouse i All Men Allowed stało trzydzieści stołów, na których toczono zacięte boje ligi bilardowej. Można było wygrać przepiękną dziewczynę, przepiękną żonę lub bogatego męża po pięćdziesiątce. Najbogatsi, najbardziej uszczęśliwieni, zostawali oskubani do ostatniego grosza przez małżonki w ciągu lat trzech, po których uśmiechali się po tajsku, próbując dorobić filozofię życia do klęski na własne życzenie. Jedynie farciarze kupowali bilety powrotne do Australii czy Ameryki, zmieniali zdanie o Tajlandii, zakładali vlogi na YouTube albo publikowali książki w pedeefach, dzieląc się w nich swoimi głębokimi przemyśleniami o podstępności tajskich kobiet. Moon siedziała na barowym stołku niemal naga, kusa spódniczka przykrywała zaledwie pół pupy i odkrywała stringi, plastikowe cycki też miała ledwo zakryte, na szyi girlandy pachnących orchidei, purpurowe szpile, wielki uśmiech i nieco mętny wzrok. Odślonięty brzuch zdradzał wiek i

liczne potomstwo, wydawał się być wyzwaniem rzuconym młodszemu, mniej pewnym siebie, a może zdradzał lekkie szaleństwo. Marek postawił jej drinka, a że mocno pachniała perfumami z piżmem poszli tańczyć do Laguny. O szóstej nad ranem pieprzyli się namiętnie, choć bez prób bicia rekordów, zważywszy prezerwatywę i alkohol. Moon także pochodziła z Isaan i miała dość oryginalny zawód, pracowała na komputerze przy tworzeniu programów do rozpoznawania odręcznych pism azjatyckich. Nazajutrz, w nad wyraz dżentelmeńskich okolicznościach, Marek poznał jej partnera, trzydzieści lat starszego od nich Szwajcara, szefa softwarowego biznesu. Mieszkali w eleganckiej willi z basenem. Moon zaprosiła Marka na śniadanie uprzednio wyjaśniając, że Szwajcar jeszcze śpi z dwudziestoletnią dziewczyną poderwaną w Angels godzinę przed przyjazdem Marka. Żyli w wolnym związku. Po wypiciu porannej kawy pojawiła się w jadalni porcelanowa laleczka, grzecznie podziękowała za kawę i zniknęła. Chwilę później pojawił się Lutz. Moon, całkowicie naga, nie licząc szpil na wysokim obcasie, przygotowywała jajecznicę na bekonie, panowie natomiast przywitali się kurtuazyjnie. Odbyli pogawędkę o programowaniu, a Moon z satysfakcją przyglądała się erekcji Marka, nie dającej się ukryć pod płóciennymi spodniami. Zapytała o przebieg nocy Lutza, który z rozbrajającą szczerością odparł, że nie miał nawet wzwodu, bo za dużo wypił. Zrewanżował się pytaniem i nie wyglądał na przybitego informacją, że Marek dzielnie ruchał się z jego dziewczyną. Roześmiali się, że znowu wygrała. Po dopiciu soku Marek pożegnał się i został zaproszony na basen kiedy tylko

zechce, ale nie skorzystał, wybierał zawsze ocean. Na koniec Moon założyła bikini, odprowadziła go do bramy i powiedziała, że byłoby jej bardzo miło, gdyby wpadał, bo Lutz nie bardzo ma z kim rozmawiać, a ona zwykle nie rozumie, o czym on do niej mówi. Tajskie seks bomby potrafią bez cienia kokieterii mówić, że nie są dobrymi dziewczynami, nic nie potrafią, ale mają dwójkę dzieci na utrzymaniu i będą bardzo wdzięczne za drobną pomoc. Ponieważ alternatywą jest praca nielimitowana czasowo bez ubezpieczeń społecznych, wakacji i zwolnień chorobowych Marek uważał, że został komunistą – pieniądze są wspólne, a małżeństwa nie istnieją.

Me zobaczył na skuterze. Pojawiła się na bocznej drodze w czarnej skórzanej kurtce, z gołymi nogami, natychmiast za nią skręcił. Dogonił ją po paru minutach na skrzyżowaniu, podjechał blisko, by cokolwiek powiedzieć, ale gdy się odwróciła, zobaczył tylko swoje odbicie w lustrzanej przyłbicy kasku, na co nie był przygotowany. Kilka godzin później popijał w piwo i grał w bilard, fiut mu twardniał, bo dziewczyna grała inteligentnie, drażniła się z nim seksualnie, miała krótką turkusową mini pasującą do odcienia ud. Gdy wychodząc z nią zobaczył jej skórzaną kurtkę i kask zrozumiał, że los skierował go w ramiona tej, którą sam chciał wybrać, co zawsze na jedno wychodzi. Dziewczyny czasem zapominały swoich majtek albo zostawiały je naumyślnie. Me posunęła się do zapomnienia sukienki, chciała, by się za nią uganiał tak, jak tego popołudnia na skuterze, widziała go potem w lusterku, wiedziała, dokąd się udał. Rozstał się z nią tydzień

później, nie mogąc znieść żalosnych kłamstw. Kilka minut później podeszła do niego inna seksbomba, jeszcze młodsza, i ofiarowała całą siebie od razu, z góry uprzedzając, że nie chce żadnych pieniędzy. Kutas zaczął mu twardnieć natychmiast, ale odmówił, wydało mu się bowiem, że krzywa prawdopodobieństwa zakażenia się hivem lub czymś podobnym zakrzywiała się coraz bardziej w górę. Przez pierwsze miesiące życia na Phuket Marek starał się zadawać z kobietami przyzwoitymi, ale szybko się okazywało, że bycie przyzwoitą sprowadzało się do ustawicznego zastawiania sideł, sprawdzania wierności, lojalności i intencji, ich niska samoocena biła po oczach, miał tego serdecznie dość. Dzielki okazywały się lepszymi kochankami, w ostatecznym rozrachunku znacznie tańszymi w utrzymaniu, mającymi więcej doświadczeń i zwykle ciekawiej opowiadającymi o życiu niż nieszczęsne, przemądrzałe i drażliwe prawniczki, agentki ubezpieczeniowe i agentki nieruchomości, a już zupełną katastrofą jako życiowe partnerki okazywały się absolwentki studiów humanistycznych. Przyczyny demograficznego samobójstwa kultury Zachodu są złożone.

Pochodząca z Wietnamu Joy na pierwszą randkę w Laguna Plaza nie przyszła, przysłała za to sportowy wóz z szoferem. Willa z obowiązkowym basenem okazała się być firmą bez szyldu z zatrudnionymi na czarno Rosjanami prowadzącymi dla Joy sieć fejsbukowych stron w celu łapania w nią oligarchów nie liczących się z cenami willi na Phuket. Prowokowała Marka seksualnie jak tylko wszedł, ale natychmiast zwiększała dystans, gdy

bezpośrednio wyrażał uczucia, nie wchodząc w schemat relacji wypracowany przez Joy z Rosjanami. Jej przerysowane pozy i miny balansowały na granicy ironii z własnej atrakcyjności seksualnej i zatracania się w egzaltacji obliczonej na wywarcie wrażenia na pracownikach stacji benzynowych z Irkucka. Zmieniała tematy bez żadnego nawiązania pomiędzy nimi, imitując jedynie błyskotliwą rozmowę i nie zdając sobie sprawy z komicznego efektu swoich wysiłków. Nagle przerywała spoglądając Markowi przeciągle w oczy, ale nie było w tym spojrzeniu koniecznego sentymentom wahania, ani nawet niezbędnej dla skutecznej prowokacji lubieżności, powtarzała jedynie jak automat podejrzanę na filmach zachowanie, budząc natychmiastowe podejrzenie o psychopatię. Każdy utalentowany manipulator dosyć szybko potrafi ocenić, kto ulega i staje się psychicznie zależny, a kto nie. Tych drugich należy daleko odsuwać, ponieważ nie tylko ich ewentualna kpina, ale sama niezależność osłabiają siłę, z jaką uzależnia się innych. Być może każda religia i ruch polityczny musi mieć na czele psychopatę, a nie człowieka szanującego podmiotowość innych, ponieważ jedynie siła płynąca z oddania osobie stojącej na czele, pozwala ruchom społecznym przetrwać. Ruchy oparte przede wszystkim o indywidualizm padają w momencie swojego powstania. Marek snuł te rozważania kręcąc kółka widelcem po talerzu i gapiąc się w cycki Joy, fatamorganę ewentualnej nagrody za wyrzeczenie się własnego indywidualizmu. Siedzący wokół Rosjanie zachowywali się jak sfera pekińczyków na wielopostronkowej smyczy. Wystarczyło lekko pociągnąć, już merdali. Czasem ludzie znajdują

się w tak odmiennej konfiguracji społecznej od im naturalnej, że na pierwszy plan natury ludzkiej wysuwać się zdaje zbzikowanie. Marek z żelazną konsekwencją odmawiał prowadzenia interesów z Azjatkami, których uprzednio nie przeleciał. Dopóki nie wiedział, jak się rzną, nic nie wiedział, jakby biblijne znaczenie zwrotu *poznał ją*, było tysiące lat później nadal aktualne. Relacje z mężczyznami rozgrywały się na zupełnie innej, niepełnej płaszczyźnie, ponieważ pozostawali nieprzeniknieni. Joy widywał później czasem w Lagunie, ale znajomość nie miała już widoków na przyszłość, pozostała niedopoznana. Ludzie tworzą sobie obrazy innych ludzi, potrzebują koncepcji ich psychicznej dynamiki, by wchodzić w złożone interakcje społeczne i się w nich swobodnie poruszać. Wchodzić lub właśnie nie wchodzić, gdy odpycha nas estetycznie jakiś aspekt cudzej psychiki. Joy miała obsesję na punkcie kontrolowania mężczyzn, co Marek tłumaczył sobie tym, że bardzo słabo rozpoznawała cudze intencje. Jej niezdolność do rozpoznawania stanów psychicznych innych ludzi ocierała się o kalectwo. Mimo perfekcyjnej urody zdawała się bardziej kaleka niż niewidomi czy głuchoniemi, pozostając głucha na emocje innych. Nie potrafiąc stawiać hipotez, nierzadko błędnych, co do intencji innych, stawiamy się poza człowieczeństwem, nawet jeśli zewnętrznie wyglądamy jak szczytowe osiągnięcie ewolucji. *Czego chce ode mnie inny* odgrywa rolę pytania esencjonalnego, zahaczającego o definicję człowieczeństwa. Rzecz nie w tym, aby na siłę kochać bliźniego, ale by się do niego zbliżyć przynajmniej na tyle, by uchwycić jakiś aspekt jego неповtarzalności, jego zmagania i dramaty. Ujrzenie,

jak ubogie lub próżne bywają zmagania innych, nie pozwala jeszcze nam samym ujrzeć błahości naszych – te zawsze wydają się rozgrywką na najwyższym poziomie moralnym – ale przynajmniej postawić znak zapytania, czy przypadkiem wymyślnie nie oszukujemy samych siebie. Marek odkrywając jej strach przed innymi, strach przed zranieniem, odkrywał go rykoszetem także w sobie. Wydało mu się nagle, że jest wręcz identyczny z Joy, że jej otaczanie się całkowicie zależnymi od niej psychicznie mężczyznami jest tylko lustrem wybierania przez niego kobiet, które były dla niego samego przezroczyste.

W końcu umówił się z Rosjanką. Miała na imię Allia. Na portalu randkowym opublikowała zdjęcia w przeciwsłonecznych okularach, więc nie wiedział, czy oczy miała piękne, czy brzydkie. Wiedział jedynie, jak wyglądało jej ciało w bikini, to wystarczyło. Cekał na Allię w barze „Love, Peace, Reggae”. Obok czwórka Francuzów w strojach plażowych dokonywała starań, by zachowywać się jak pastisz Francuzów, wydobywając z otaczającej rzeczywistości drugorzędne cechy i pomstując na kogo popadnie, że tym razem już naprawdę zbliża się koniec świata. „Oui, je te jure! Mais c’est pas possible, c’est incroyable!”. Zaletą życia poza językiem ojczystym bywa, że nie trzeba sobie nawzajem opowiadać dykteryjek o obecnej, zawsze wyjątkowo trudnej, acz bliżej niesprecyzowanej s y t u a c j i. Rozważania o kulturze przerwała Markowi Allia. Przyszła, zdjęła okulary, zobaczył jej przepiękne oczy i natychmiast zapragnął stracić z nią cnotę, a jeśli już jej nie miał, to przynajmniej wyobrazić sobie, że ją ma i

właśnie zaraz z pewnością straci. Całowanie się o trzeciej nad ranem pod jej domem rozniosło w głowie Marka woń pierwszej wiosny w życiu, czuł się przebiśnieniem bijącym rekord świata zmysłowości. Tak się nie całuje, tak się ścina głowy. Ugotowała go na twardo, ale Marek zdawał sobie sprawę, że nawet pocałunki były tylko prowokacją, zaproszeniem do długiej gry, sprytem połączonym z ostrożnością i udawaniem niezdecydowanej. Jej gierki Marka nie martwiły zupełnie, w ogóle nic go przy niej nie martwiło, ponieważ wcięcie w talii miała jak w skandynawskich komiksach. Następnego dnia zaprosił ją na lunch do naleśnikarni Crepes. Spóźniła się odpowiednio długo, Marek zdążył się lekko zaniepokoić, a następnie zezłościć na samego siebie za tę nerwowość. Wytrzymał kwadrans, w końcu wysłał esemesa. Przyszła, gadali przez godzinę o byle czym, Marek miał kłopoty z patrzeniem na cokolwiek innego poza jej oczami, w końcu spytał ją, co z tymi zakupami, o których mówiła mu rano przez telefon.

— Mam wolny dzień, więc chcę pojechać do Central Festival. Jedziesz ze mną? — spytała. — Ale ostrzegam, to może potrwać bardzo długo i się znudzisz.

— Co chcesz kupować? Sukienkę na przykład? Może być zabawnie, nie znudzi mi się.

Przyszła w dość marnej sukience, ale podkreślającej jej kształty tak, że głowy facetom obracały się jakby nie mieli szyi, wszyscy wyobrażali ją sobie nago, tak że perspektywa spędzenia z nią pół dnia w przymierzalniach wydawała się przemiła.

— Nie, buty.

— Może być. Jedziemy.

Allia usiadła za kierownicą firmowego samochodu. Nie miała prawa jazdy i prowadziła fatalnie, przez cały czas pokrzykując na Tajów, że jeździć nie potrafią, że reguł nie znają, że chamy i dzieci. Włączyła muzykę – najgorszy rodzaj techno. Marek szukał jakiegoś pozytywu w tym wszystkim, znalazł kilka, na pierwszy plan szczególnie wybijały się jej gołe nogi. Przejechała dwa razy na czerwonym świetle, nikogo nie zabiła dzięki zbiegom okoliczności. Ponieważ nie przekraczała czterdziestu na godzinę, a dzięki automatycznej skrzyni biegów nie myliła sprzęgła z hamulcem, dotarli do Central Festival. Marek lubił kobiece stopy, zwracał na nie często uwagę i bardzo lubił seksowne szpile. Jemu samemu kupowanie butów zajmowało mnóstwo czasu, więc przygotował się na długie przebieranie, tym bardziej, że znaleźli się w największym centrum handlowym między Bangkokiem a Kuala Lumpur. Pierwszy sklep potraktowali zapoznawczo, ona zobaczyć co jest na półkach, a on zorientować się, czego Allia właściwie szuka. Buty miały być do pracy, do chodzenia, łatwo zdejmowalne, bez żadnego zapięcia, na niskim obcasie, sprawa wydawała się więc w miarę prosta, ale co najmniej dwa modele odrzuciła, bez podania konkretnego powodu. *Te nie. No bo nie.* W drugim sklepie podsunął jej kilka udanych wzorów, ale okazywało się, że albo nie ten numer, albo nie ze skóry, albo nie ten kolor. W pełni podzielał obiekcje. Zaniepokoiło go jednak, że wybierała

modele zupełnie płaskie, bez obcasa. Miała duże stopy, na płaskim wyglądały niedobrze, poza tym zapominała się i człapała. Postanowił coś z tym zrobić, więc zaryzykował niewinną gierkę i podał jej do przymierzenia dwa różne pantofle, w tym jeden ewidentnie słaby, a drugi ciężki, na pełnym obcasie, zmuszający do podnoszenia nóg i ukrywający szerokie stopy.

— Wiesz, wydaje mi się, że te cięższe ci bardziej pasują.

Nie mogła się nie zgodzić, szlak został przetarty. Po godzinie wyszli z trzeciego sklepu, gdzie przymierzyła ze dwadzieścia modeli, z czego połowa nadawała się do kupienia bez dwóch zdań. Proces selekcji zaczęło go intrygować.

— Chodzi o to, że jak tylko je zobaczę, to będę natychmiast wiedziała, że te właśnie, a nie inne, rozumiesz?

Oczywiście, rozumiał. Po trzech godzinach dotarli do większej hali z najdroższymi markami. Wybrzydzała na potęgę, że drogo, nieładnie, że w Szanghaju się żyje pełną gębą, a na Phuket badziewie i drożyzna. Oddalił się między półki. *Co ja tu z nią robię? Co z życiem robię? Co z tą klawiaturą, ze sobą i ze wszystkimi tymi kobietami robię? Wykorzystuję je jak cytryny, doprowadzam do rozedrgania, by wydobyć z nich te kilka dźwięków i na papier je wszystkie, na papier! Bawię się, a gdy się nie bawię, śmierć mi staje przed oczyma i staram się być zbyt głęboki, a płytko tu jest jak w kałuży.* Dzień później przysłała esemesa wieczorem, niby tak, co słychać. Odpisał:

Piszę o szoping wczoraj i Twoich nogach i o tym jak całujesz. Leżę w łóżku i wyobrażam sobie, że jestem z Tobą. A Ty?

Uczę się do egzaminu na prawo jazdy.

Mam świetny olejek do masażu, co powiesz na masaż o północy? Na pewno pomoże Ci w przyswojeniu zasad ruchu.

Hahaha, mam nadzieję, że żartujesz.

Jestem poważny jak Lenin na Placu Czerwonym. Olejek jest z palczatki lemon grass i jest znakomity. Wolisz pełny masaż czy tylko szyja i ramiona?

Seksu z tego nie uszyli. Zadawanie się z Tajkami skutkuje zapomnieniem, że kobiety z innych kultur zwykle nie idą do łóżka od razu, bo im od tego spada samoocena. Tajkom przeciwnie, rośnie. Następnego dnia odmówił spotkania na popołudniową kawę, bo stracił wiarę, by z tego narodził się dziki seks, historia warta przelania na papier albo sesja zdjęciowa, po której warto by było chwycić pędzel i wyciskać farby olejne z tubek. Wziął skuter i pojechał w nieokreślonym kierunku. Po trzech nocach bez pieprzenia tylko trzymania się za ręce naładował się testosteronem tak bardzo, że nie pozostało nic innego jak chwycić długopis i wrócić do pisania opowieści o Mateuszu, nieśmiałym facecie, który nigdy nie zdecydowałby się na tak radykalne zerwanie z Europą i monogamią. Podjął historię tam, gdzie ją przerwał, w Andaluzji.

